

Łukasz Warzecha: Rok po Smoleńsku

Katastrofa smoleńska miała pośrednie polityczne przyczyny i była głęboko zanurzona w polityce



Katastrofa smoleńska miała pośrednie polityczne przyczyny i była głęboko zanurzona w polityce

Gdy rano 11 kwietnia ogląda się czołówki serwisów internetowych, można odnieść wrażenie, że ponieśliśmy spektakularną klęskę: pierwsza rocznica katastrofy smoleńskiej nas nie zjednoczyła. Przeciwnie – podzieliła być może

jeszcze mocniej. Osobno obchodziła ją opozycja, osobno koalicja, rodziny ofiar nie były razem...

Część takich rozczarowań bierze się być może z dobrej woli i dobrotliwej naiwności, lecz część ma bez wątpienia źródło w złej woli. Mamy bowiem do czynienia z mechanizmem uruchomionym niemal tuż po katastrofie, gdy próbowano nam wmówić, że „godne” do niej podejście polega na całkowitym odseparowaniu jej od polityki. Tworzenie jakichkolwiek powiązań pomiędzy upadkiem prezydenckiego samolotu a polityką – domaganie się dymisji osób odpowiedzialnych, zwracanie uwagi na atmosferę wojny pomiędzy obozem rządowym a prezydenckim, krytykowanie sposobu prowadzenia śledztwa – wszystko to miało być świadectwem karygodnego upolityczniania tragedii.

Jak zatem należałoby obchodzić pierwszą rocznicę tak, aby nie było politycznie, ale „godnie”? Łatwo się zorientować: łzawo, wspomnieniowo, bez wypominania jakichkolwiek win. Ilustruje to dobrze różnica pomiędzy filmami, krążącymi w obiegu nieoficjalnym, a tymi oficjalnymi. Podczas gdy Anita Gargas stworzyła za pieniądze „Gazety Polskiej” ciekawy reportaż, docierając do świadków katastrofy w Rosji („10.04.2010”), „publiczna” TVP pokazała „apolityczną” właśnie, łzawą laurkę Moniki Sieradzkiej, zrobioną tak, jakbyśmy mieli do czynienia ze zwykłą katastrofą komunikacyjną.

Tak oczywiście nie było: katastrofa smoleńska miała pośrednie polityczne przyczyny (o bezpośrednich właściwie nadal nic nie wiemy), była głęboko zanurzona w polityce, ma ogromne polityczne konsekwencje i twierdzenie, że można ją od polityki oddzielić służy wyłącznie jednej stronie tego sporu. Tej mianowicie, która ponosi największą odpowiedzialność za samą tragedię oraz za sposób jej wyjaśniania.

W gruncie rzeczy jednak mamy do czynienia z trudnym zapętleniem wątków, motywacji, zachowań. Nie ma problemów ten, kto czuje dzisiaj wyraźną identyfikację partyjną lub przynajmniej środowiskową. Tutaj role są porozdawane, kwestie rozpisane. Jesteś z PiS – mówisz tak. Jesteś z Platformy – mówisz inaczej. Działasz w „Krytyce Politycznej” – musisz pooburzać się na absolutyzowanie i narzucanie żałoby. I tak dalej, i tak dalej.

Gorzej, jeśli ktoś stara się znaleźć samemu własną drogę. Nie może uciec, jako się rzekło, od polityczności katastrofy smoleńskiej. Ona sama, a także to, co działo się potem, mają ściśle związki z konkretną polityczną strategią, jaką realizuje nasze państwo pod obecnymi rządami, a także ze słabością samego państwa. Zarazem jednak jest oczywiste, że katastrofa staje się narzędziem walki pomiędzy dwoma siłami. Tylko czy można uznawać to za naganne? Jeśli analiza podejścia władz do katastrofy oraz badania jej przyczyn prowadzą do wniosku, że zasadnicze znaczenie ma tutaj widzenie roli państwa, polityka zagraniczna, jaką prowadzi, jego sprawność, to trudno się dziwić, że wokół tego wydarzenia koncentruje się polityczny spór.

Problemem może być jednakże traktowanie wyjaśnienia katastrofy jako panaceum na wszelkie zło, trawiące nasze państwo, a tak wydaje się tę kwestię przedstawiać Jarosław Kaczyński. Możliwe oczywiście, że to jedynie wiecowa retoryka i taktyka. Trzeba jednak mimo to powiedzieć, że od samego wyjaśnienia przyczyn katastrofy – o ile w ogóle jest to możliwe, biorąc pod uwagę stanowisko Rosji – Polska się nie naprawi. Wyjaśnianie katastrofy należy uznać za kwestię bardzo istotną, ale jednak równoległą wobec innych działań naprawczych. Byłoby źle, gdyby obecna opozycja, obejmując w przyszłości władzę, skoncentrowała się wyłącznie na tej sprawie.

Tu stajemy przed problemem podziału polskiego społeczeństwa po 10 kwietnia. Nie będziemy tutaj rozważać jego przyczyn. Wiele już o tym pisano, a trzeba też pamiętać, że są one złożone i sięgają dużo dalej niż tylko rok lub pięć lat wstecz. Ten podział pogłębiałby się zapewne także i bez 10 kwietnia, choć nie odbywałoby się to tak skokowo i gwałtownie. Wydaje się on zatem nieunikniony, a zarazem dla państwa polskiego ogromnie szkodliwy, tworzy bowiem idealne warunki do działania dla zewnętrznych sił. Między innymi dlatego, że pozwala – jak opisuje to w najnowszym numerze „Rzeczy Wspólnych” Rafał Matyja – obu stronom prowadzić nadal swoją „nudziarską” narrację, czyli koncentrować własną i publiczności uwagę na zagadnieniach drugorzędnych, mało istotnych i niepoważnych, za to łatwych intelektualnie i chętnie podchwytywanych przez media.

Mamy tu swoisty paradoks. Z jednej strony smoleńska katastrofa przyczyniła się do uwypuklenia realnych różnic pomiędzy dwiema głównymi siłami politycznymi w ich stosunku do najważniejszych sfer działania państwa; z drugiej jednak debatę o tych różnicach sprowadziła na bardzo niski poziom haseł, wzywających do boju i służących zdeprecjonowaniu drugiej strony czy wręcz jej zdelegitymizowaniu (patrz mój tekst o przemocy symbolicznej we wspomnianym, najnowszym numerze „Rzeczy Wspólnych”). Czyli w praktyce tę debatę skrajnie zrytualizowała i niemal uniemożliwiła. I to właśnie paradoksalne zjawisko można uznać za jeden z najważniejszych skutków 10 kwietnia.

Łukasz Warzecha

Lukasz Warzecha jest komentatorem "Faktu"

Foto: Damian Burzykowski ("Fakt")